

PAMIĘTAĆ O CENIE WOLNOŚCI

**Z KAZIMIERZEM KRAJEWSKIM I GRZEGORZEM WĄSOWSKIM
O „ŻOŁNIERZACH WYKLĘTYCH” ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Pamięć jest atrybutem człowieka i elementem jego tożsamości. Można ją utrwalić w dokumentach. Jest chroniona przez różne instytucje w różny sposób, ale przede wszystkim chronią ją żywi ludzie. Zajmując się historią nieodległą, stąpając po świeżych śladach ludzi i próbując wskrzesić pamięć o żołnierzach niepodległościowego podziemia, walczących od 1944 r. z komunistycznym zniewoleniem. Zostali oni skazani przez władze komunistyczne i dyspozycyjnych historyków na zapomnienie i wykreślenie z powojennych dziejów Polski.

G.W. – Wychowałem się w rodzinie wrażliwej na sprawę niepodległości Polski i przywiązanej do idei wolności człowieka. Tę wartość – wolność jednostki ludzkiej, prawo człowieka do samostanowienia, do autonomicznego wyboru celów i sposobu życia, oczywiście przy poszanowaniu wolności i takich samych praw innych osób – uważam za warunek konieczny do normalnego życia. W przestrzeni makro, gdy mówimy o narodach, synonimem wolności jednostki jest niepodległość. Ponieważ przyszło mi dojrzeć w okresie schyłkowego PRL, to w sposób naturalny skupiłem swoje zainteresowanie na systemie, który wolność dławił w każdym jej wymiarze i, co warto pamiętać, robił to konsekwentnie do końca swoich dni. Był to system w istocie swojej niezmienny. Twierdzenia o jego ewolucji, zwłaszcza z powoływaniem się na tzw. polski październik, uznaję za nieuprawnione, za deformujące rzeczywistość, zakłamujące prawdę o opresji komunistycznej. W mojej ocenie, którą powtarzam za Józefem Mackiewiczem, PRL nie był przedłużeniem państwowości polskiej, lecz dalszym ciągiem historii rewolucji komunistycznej 1917 r. Był przedłużeniem i integralną częścią bloku komunistycznego. Gomułka przyszedł do władzy, tak samo jak w 1920 roku miał przyjąć Marchlewski, a w 1945 roku przyszedł Bierut, nie wbrew intencjom centrali komunistycznej w Moskwie, ale z jej nominacji. Skoncentrowane w październiku 1956 r. wojska sowieckie nie miały być użyte przeciwko niemu, tylko przeciwko narodowi polskiemu, gdyby ten powiedział „nie” Gomułce i pozostałym komunistom – tak jak „nie” komunistom węgierskim powiedzieli w 1956 r. mieszkańcy Budapesztu. Nie pamiętam, kto powiedział, że postępu nie można mierzyć liczbą pomordowanych, że należy mierzyć go stopniem wyzwolenia myśli – chyba Szymon Szechter. Moim zdaniem, miał rację. W latach osiemdziesiątych na ziemiach polskich komuniści dopuszczali się mordów jednostkowych, w latach czterdziestych – masowych. Ta okoliczność nie może być jednak uznawana za dowód pozytywnej ewolucji systemu. Tak myśleć mogą tylko niewolnicy. Jeżeli zestawimy komunizm z wolnością, to znakomicie widać, że ten ustrój był do końca niezmienny, do ostatnich swoich dni był antytezą wolności. Podporządkowywał świat narzuconej z góry tezie, do tego nie pozwalał ludziom przejść obok siebie obojętnie – był opresją nie tylko zewnętrzną, która materializowała się w latach czterdziestych w postaci funkcjonariuszy UB, a w latach osiemdziesiątych w postaci SB i ZOMO – ale również opre-

Adolf Hitler nie wymagał, żeby w dniu jego urodzin lud Warszawy okazywał entuzjazm na ulicach miasta.

się wewnętrzną. Ingerował w ludzką psychikę i świadomość. Nakazywał ludziom, co mają mówić. Był oparty na powszechnym nakazie. W tym znaczeniu odróżniał się *in minus* od klasycznej formy okupacji. Weźmy za przykład okupację niemiecką – była wyłącznie okupacją zewnętrzną, opierała się na zakazach. Powszechny nakaz i zakaz – to istota różnicy pomiędzy niewolą komunistyczną a każdą wcześniej znaną formą okupacji.

Uważam, że komunizm był najgorszym dla człowieka systemem w całej historii ludzkości. Gorszego, bardziej antyludzkiego systemu nie było.

K.K. – Adolf Hitler nie wymagał, żeby w dniu jego urodzin lud Warszawy okazywał entuzjazm na ulicach miasta.

G.W. – Propaganda nazistowska była nieporównywalnie mniej groźna w skutkach od propagandy komunistycznej. Okupacji niemieckiej żaden z doktrynerów nazistowskich nigdy nie nazwał wyzwoleniem Polski, zapewne nikomu z nich nawet do głowy to nie przyszło. Nikt z nich też nie twierdził, że przyszli nas uszczęśliwić. Komuniści zrobili dokładnie odwrotnie. Pod okupacją niemiecką wewnętrzne „ja” człowieka nie było zagrożone, nie było obiektem ataku okupantów. Nie dochodziło do tego potwornego rozdźwięku pomiędzy myślą a słowem, który zaistniał w okresie niewoli komunistycznej. Pod rządami komunistów ludzie, z różnych powodów, mówili co innego, niż myśleli, mówili to, czego żądała od nich partia komunistyczna. Człowiek nie może długo funkcjonować w takim rozdźwięku, bo traci poczucie własnej wartości i godności. Z czasem zaczyna dostosowywać myśli do słów. To jest właśnie syndrom komunistycznego zniewolenia – paraliż myśli i ducha, skutkujący brakiem woli oporu wobec otaczającej rzeczywistości.

Uważam, że komunizm był najgorszym dla człowieka systemem w całej historii ludzkości. Gorszego, bardziej antyludzkiego systemu nie było. Uznając, że tak jest, w sposób naturalny zacząłem interesować się ludźmi, którzy w czasach najgorszych powiedzieli temu systemowi „nie”, więcej – zdecydowali się na opór zbrojny. W wydanej ostatnio książce Andrzeja Bobkowskiego, *Z dziennika podróży*, opisuje on swoje doświadczenia z pobytu w Gwatemali, dokąd zdecydował się wyemigrować z Francji. Tam dopadł go komunizm. Notując swoje wrażenia z okresu, w którym obawiał się aresztowania, Bobkowski napisał, że jakby po niego przyszli, to poszedłby „na udry, a nie na pertraktację”, niezależnie od szans na skuteczny opór, dlatego, że czuje się częścią cywilizacji, która została przez komunizm zanegowana. Podobnie pisali Zbigniew Herbert i Henryk Elzenberg – uważali, że sens walki powinien być mierzony nie jej szansami na zwycięstwo, lecz wartościami, w obronie których walka została podjęta. Uważam, że mieli rację, że jeśli ocenia się postawy jednostek – a mnie interesuje właśnie ludzki los zestawiony z realiami historycznymi – jest to jedyna możliwa do zaakceptowania miara ludzkiego wysiłku, ofiary. Wychodząc z tych założeń, wspólnie z moimi przyjaciółmi skupionymi wokół idei Fundacji „Pamiętamy”, starając się, jak pisał Herbert „nie dać zginąć poległym”, otaczam troską tych, którzy w obronie ludzkiej godności poszli z komunistami „na udry, a nie na pertraktację”.

Sądzę, że mamy się czym pochwalić. Dotychczasowy dorobek Fundacji to kilka urządzonych na nowo partyzanckich mogił i kilkanaście pomników symbolicznych poświęconych żołnierzom zbrojnego antykomunistycznego podziemia, w tym wzniesiony przy pomocy

Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, odsłonięty w sierpniu br. w Zakopanem pomnik Józefa Kurasia „Ognia” i partyzantów podległych mu oddziałów.

B.P. – Czy w rodzinie któregoś z panów byli żołnierze podziemia niepodległościowego?

K.K. – Moi oboje rodzice byli żołnierzami Armii Krajowej, podobnie jak większość osób z mej rodziny z tamtego pokolenia – uczestniczących w konspiracyjnym ruchu niepodległościowym, zarówno w okresie okupacji niemieckiej, jak i później. Ostatni z nich złożył broń w czasie amnestii 1947 r. Ta amnestia, która w istocie sprowadzała się do „rozłożenia” podziemia, zaewidencjonowania jego uczestników i do „wystawienia” ich na dalsze represje resortu, wiele go kosztowała. W pewnym sensie miał przez nią zrujnowane życie.

G.W. – Mój dziadek ze strony mamy był żołnierzem legionów Józefa Piłsudskiego od chwili ich powstania. Brat mamy był uczestnikiem antykomunistycznej konspiracji młodzieżowej lat pięćdziesiątych, za udział w niej był aresztowany i siedział kilka lat w więzieniu. Moi rodzice działali czynnie w „Solidarności”. Ja zaangażowałem się w działalność opozycyjną w roku 1987, zbrojnym podziemiem antykomunistycznym zafascynowałem się rok później i ten stan trwa do dnia dzisiejszego. Ważnym doświadczeniem było dla mnie zetknięcie się w końcu lat osiemdziesiątych z twórczością Józefa Mackiewicza. W mojej ocenie był to jeden z najwybitniejszych polskich prozaików na przestrzeni dziejów, a przy tym najznamienitszy analityk komunizmu i zgubnego wpływu tego systemu na człowieka. Po dziś dzień, co jakiś czas, wracam do jego książek i publicystyki. Powtarzam: sądzę, że nikt tak dokładnie jak on nie zdiagnozował komunizmu. Mackiewicz trafił w jego istotę i opisał z encyklopedyczną dokładnością. Wnikliwość jego analizy jest porażająca. Bez wątpienia system poglądów Mackiewicza miał duży wpływ na ukształtowanie moich przekonań.

B.P. – „Anatom” komunizmu.

G.W. – Tak. Przy tym intelektualista, tzn. człowiek wierny prawdzie. Za przywiązanie do niej płacił przez całe życie. To, że był opluwany przez władze komunistyczne, to oczywiste. Jak sądzę, byłby nawet zaniepokojony, gdyby było inaczej. Był jednak również niszczonej przez niemałą część polskiej emigracji politycznej lat czterdziestych. A przecież wydawać by się mogło, że człowiek, który diagnozował niezwykle wnikliwie sytuację Polski w niewoli komunistycznej i był zdeklarowanym wrogiem komunistycznego reżimu, nie powinien być przez polskie ośrodki emigracyjne uznawany za wroga. Nic z tych rzeczy. Konflikt z Janem Nowakiem-Jeziorańskim doprowadził do tego, że Mackiewicz – człowiek, który za zezwoleniem Polskiego Państwa Podziemnego był w 1943 r. w Katyniu i napisał wstrząsające świadectwo z tego pobytu, świadek zeznający w sprawie zbrodni katyńskiej przed Kongresem Amerykańskim – do drugiej połowy lat osiemdziesiątych, w żadnej formie, nie zagościł na falach Radia Wolna Europa, był objęty całkowitym zakazem. Było to spowodowane tym, że miał odwagę dotykać swoją twórczością spraw, o których nie należało głośno mówić. Poruszam ten wątek, ponieważ w pośredni sposób związany jest z losem żołnierzy antykomunistycznego podziemia. Byli tak osamotnieni w swojej walce, jak poglądy Józefa Mackiewicza – który oddawał im najwyższą cześć – wśród kreatorów myśli politycznej polskiej emigracji.

K.K. – Mackiewicz był naprawdę jednym z nielicznych intelektualistów, który dokonał właściwej analizy komunizmu. Większość intelektualistów nie zdobyła się na taką uczciwą ocenę tego strasznego systemu. Tymczasem prości chłopcy spod Grodna i Wołkowyska walczący na Ziemiach Utraconych nie tylko o swoją ojcowiznę, ale i o wolność człowieka, jeszcze w roku 1949 śpiewali: „Bij bolszewika w każdej go postaci, bo to jest twój największy dzisiaj wróg, to przecież on kośćmi naszych braci brukował się swych niezliczonych dróg. To przecież on nie wierzył w Boga zmuszał, tumanił nas potęgą krasnych szmat, by człowieczeństwo w sercu twoim zgasił, byś ty nie wiedział, co znaczy słowo brat”.

B.P. – Zrozumienie tego, czym jest komunizm, skoncentrowanie się na tych, którzy komunizmowi aktywnie się sprzeciwiali, i zdobycie o tym ogromnej wiedzy merytorycznej to jedno. Osobną kwestią jest dokumentacja tej wiedzy.

G.W. – Podejmowane przez Fundację działania służą przywróceniu dobrego imienia ludziom, którzy mieli odwagę zbrojnie przeciwstawić się komunistom. Ich decyzja – walka – powinna być droga i bliska każdemu szanującemu wolność człowiekowi. Co więcej, opór zbrojny stawiany komunistom do początku lat pięćdziesiątych przez zbiorowisko ludzkie szanujące tę wartość powinien być oceniany jako normalne bohaterstwo. Antynomia ta wyrażać ma myśl, że decyzja o podjęciu walki, postanowienie o pójściu z komunistami „na udry, a nie na pertraktację”, była jednocześnie normalna, bo stanowiła zrozumiałą reakcję mentalnie wolnych ludzi, którzy w momencie, kiedy następuje agresja, a po niej totalne zniewolenie, podejmują walkę z agresorem – i nienormalna, bo heroiczna – prowadząca do poświęcenia życia bądź zdrowia na ołtarzu wolności. Wybór heroiczny, bohaterski – jest ze swej istoty wyborem nienormalnym, tzn. nie powszechnym, lecz wyjątkowym. Oni za swój wybór walki o wolność i godność człowieka zostali pohańbieni i opluci w sposób najgorszy z możliwych – przez komunistyczną propagandę totalnie deformującą rzeczywistość. Propaganda ta miała czterdzieści kilka lat na to, żeby tych ludzi odsądzić od czci i wiary, zakłamała cele ich walki, odzierając je z wzniosłości, przypisała im najniższe instynkty, używając określeń „bandyci”, „okrutni zwyrodnialcy” czy po prostu „złodzieje”. Ponad rok temu w jednej z miejscowości na Podlasiu stawialiśmy pomnik poświęcony żołnierzom oddziału Władysława Łukasiuka „Młota” i Kazimierza Kamieńskiego „Huzara”, którzy tam w roku 1950 zginęli w walce z UB, a także zakatowanym w śledztwie gospodarzowi, który tych ludzi ukrywał. Gdy pojawiliśmy się w jego rodzinie i powiedzieliśmy jego bliskim, że jest taka inicjatywa, to oni spojrzeli na nas, jakbyśmy byli przybyszami z Marsa. Gdy nasi rozmówcy zrozumieli, że to nie żart, usłyszeliśmy od jego córki – „niech panowie pamiętają, że w domu mojego ojca w czasie rewizji nie znaleziono żadnej kradzionej rzeczy”. Ten

Ludzi, o przywrócenie pamięci których walczymy, zabito dwukrotnie. Raz, gdy zadano im śmierć fizyczną, potem raz jeszcze zadano im śmierć cywilną, przez całe lata pozbawiając dobrego imienia. Ci ludzie w ogromnej większości nie mają grobów, w jakimś stopniu mają je zastąpić pomniki, które Fundacja buduje, prowadząc też szersze działania, które mają im przywracać dobre imię.

przykład dobrze oddaje, jak bardzo ludzie związani osobiście czy rodzinie z partyzantką antykomunistyczną byli stłamszeni przez komunistów.

K.K. – Mówiono im, że są rodzinami bandyckimi, rodzinami bandytów.

G.W. – Do 1989 r. w Polsce niepodzielnie triumfowali ubecy i ormowcy, konfidenti i partyjni czynownicy.

K.K. – Ci ludzie – oraz ich rodziny – do dzisiaj bardzo dobrze się czują w terenie, zwłaszcza na tzw. prowincji. Bardzo często świetnie się pourządzali, uczestniczą w różnych strukturach władzy terenowej lub zostali przedsiębiorcami, właścicielami firm i obiektów gospodarczych. Powodzi im się znacznie lepiej niż ich ofiarom.

G.W. – Okres peerelu wytworzył w myśleniu wielu ludzi skamielinę, która w dużych ośrodkach miejskich ginie w tłumie, natomiast w małych zbiorowościach jest widoczna jak na dłoni. Potrzeba jeszcze dużo czasu, żeby z nią się uporać. Dlatego to, co robi Fundacja, jest obiektywnie ważne – wyjazdy w teren i upamiętnianie ludzi, którzy zginęli za wolność, ludzi, którzy nie mają własnych grobów, w miejscach, gdzie złożyli swoją ofiarę. Podejmujemy działania na poziomie elementarnego szacunku dla istnienia ludzkiego, usankcjonowanego historią ludzkiej cywilizacji – każdy człowiek ma prawo do pochówku, do kawałka miejsca na ziemi po śmierci, przy którym można go wspomnieć. Jeżeli prawa tego pozbawił kogoś antyludzki reżim, to po upadku tego reżimu obowiązkiem członków tej samej wspólnoty, jest przywrócenie mu tego prawa. Bo ono wpisane jest immanentnie w ludzką godność, z którą człowiek rodzi się i umiera. Taki jest jeden z kluczowych celów działań Fundacji.

Rządy komunistów doprowadziły do przerwania przekazu pokoleniowego. To zaś jest konsekwencją piekła, jakie komuniści zgotowali ludności stanowiącej zaplecze partyzantki.

K.K. – Ludzi, o przywrócenie pamięci których walczyliśmy, zabito dwukrotnie. Raz, gdy zadano im śmierć fizyczną, potem raz jeszcze zadano im śmierć cywilną, przez całe lata pozbawiając dobrego imienia. Ci ludzie w ogromnej większości nie mają grobów, w jakimś stopniu mają je zastąpić pomniki, które Fundacja buduje, prowadząc też szersze działania, które mają im przywracać dobre imię.

G.W. – Uroczystości, które organizujemy, nie ograniczają się wyłącznie do elementu sakralnego – Mszy św. i poświęcenia pomnika. Realizujemy jednocześnie cel edukacyjny, jakim jest przywracanie prawdy o tamtych czasach. W scenariusz każdej uroczystości organizowanej przez Fundację wpisany jest wykład historyczny, który z zasady wygłasza Kazimierz Krajewski. Zasada ta jeszcze nie doczekała się wyjątku. Dobrym zwyczajem Fundacji jest wydawanie i rozdawanie wśród uczestników uroczystości broszur (autorstwa historyków IPN: Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego, a w przypadku uroczystości w Zakopanem, poświęconej partyzantom „Ognia” – Macieja Korkucia), poświęconych postaciom i zdarzeniom, które w danym momencie są upamiętniane. Cechuje je najwyższy poziom merytoryczny i staranna szata graficzna.

K.K. – One trafiają do członków lokalnych społeczności, dla których to nie jest abstrakcja, oni mogą odnieść się do każdego faktu i do każdego nazwiska.

B.P. – Niemniej niewiele osób zna prawdę o „żołnierzach wyklętych”. Są ludzie, którzy nadal mówią o nich „bandyci”.

G.W. – Moje obserwacje, wynikające z wielu lat podróżowania po kraju za historią „żołnierzy wyklętych”, prowadzą do wniosku, że w dużej mierze sytuacja ta jest konsekwencją tego, iż rządy komunistów doprowadziły do przerwania przekazu pokoleniowego. To zaś jest konsekwencją piekła, jakie komuniści zgotowali ludności stanowiącej zaplecze partyzantki. Ponieważ niełatwo było im zlikwidować ruchliwe oddziały partyzanckie, więc uderzenie kierowali przede wszystkim w zaplecze oddziałów – te powiaty, w których partyzantka antykomunistyczna miała swoją bazę. Terror był tak powszechny i tak wielki, że ludzie, którzy go doświadczyli, nawet z własnymi dziećmi nie rozmawiali o tych sprawach, żeby im nie przysporzyć kłopotu. Milczenie ludzi znających prawdę i trwająca wiele lat, prowadzona z wykorzystaniem instytucji państwowych i oświatowych propaganda komunistyczna musiała doprowadzić do stanu, z którym zmagamy się po dziś dzień i przyjdzie nam się zmagać jeszcze długo. Do stanu powszechnej wręcz niewiedzy o historii walki zbrojnej z komunistami, którą prowadzili nasi przodkowie.

K.K. – Swego czasu podjęliśmy się ekshumacji jednego z dowódców oddziałów partyzanckich, by pochować go na cmentarzu we wspólnej mogile wraz z jego żołnierzami. Nawiązaliśmy kontakt z rodziną, padło z naszej strony pytanie o fotografie i wtedy rodzony brat tego człowieka powiedział: nie mamy żadnych fotografii, bo komuniści tak nam życie uprzykrzyli, nachodzili nas, ciągle za czymś „węszyli” – między innymi właśnie za zdjęciami, tak się baliśmy, że sami posiadane zdjęcia brata spaliliśmy.

B.P. – Rozmawiałam kiedyś z bratem Mariana Bernaciaka „Orlika”, którego pośmiertne zdjęcie zrobione przez UB opublikowaliśmy w jednym z pierwszych „Biuletynów IPN”. On i jego rodzina byli prześladowani do końca PRL, mieli kłopoty w pracy, na studiach, do końca byli inwigilowani przez bezpiekę.

K.K. – To prawda, ci ludzie figurowali w ewidencji resortowej jeszcze w latach osiemdziesiątych. Kiedy z dr. Tomaszem Łabuszewskim opracowywaliśmy historię jednego ze zgrupowań niepodległościowego podziemia, jeździliśmy po różnych delegaturach Urzędu Ochrony Państwa, od którego dostaliśmy materiał dotyczący tej jednostki (nawiasem mówiąc, materiał z opalonymi brzegami, czyli był przeznaczony do spalenia i nie spłonął, został z ognia wyjęty). I tam między innymi znaleźliśmy notatki służbowe oficerów SB z połowy lat osiemdziesiątych, którzy jeszcze wtedy jeździli z jednego województwa do drugiego, żeby przesłuchiwać starego człowieka, który dowodził kiedyś wspomnianą grupą partyzancką. I mimo że swój oddział rozwiązał i skorzystał z tzw. amnestii, został aresztowany i skazany na wiele lat więzienia, które odsiedział, to esbecy jeszcze po upływie kilkudziesięciu lat przesłuchiwali go w sprawie tych jego żołnierzy, którzy nie zostali zlokalizowani przez „resort”, i w sprawie kilku sztuk broni, której losów „resort” również nie zdołał ustalić. W aktach z lat osiemdziesiątych były informacje na temat jego rodziny, gdzie pracują jego dzieci, gdzie uczą się jego wnuki itd.



Pomnik w Drohiczyne

G.W. – Przywołany przez Kazimierza przypadek zniszczenia zdjęcia – ostatniej materialnej pamiątki istnienia bliskiego członka rodziny – potwierdza skuteczność komunistycznej opresji oraz smutną diagnozę, że skala sparaliżowania społeczeństwa przez komunizm była wielka. Potwierdza również istotną różnicę pomiędzy sytuacją osób walczących z komunistami i ich bliskich, a sytuacją osób zaangażowanych w konspirację antynazistowską i ich rodzin. Rodzina dotknięta terrorem okupanta niemieckiego mogła liczyć na solidarność, na empatię współrodaków. Ludzie pomagali tym osobom tak dalece, jak mogli i była to postawa powszechna. Natomiast rodzina niszczone, prześladowana przez komunistów za związki z partyzantką antykomunistyczną w zasadzie skazana była na cierpienie w samotności. Aktem bohaterstwa było podanie tym ludziom ręki.

K.K. – Represje mogły dotknąć wszystkich, którzy znaleźli się np. w kręgu rodzinnym czy sąsiedzkim osoby uznanej za przeciwnika reżimu. To jest model czysto sowiecki, opowiadano nam o przypadkach takich jak ten – gdy osoba skazana na 25 lat łagru napisała do zaprzyjaźnionych sąsiadów, by zaopiekowali się jej starą matką – dostała odpowiedź: „nie pisz do nas więcej, nie znamy cię, nie chcemy znać i nigdy nie znaliśmy”. Sąsiedzi po prostu się bali. Stali się bierną, wystraszoną masą podatną na proces sowietyzacji. A realizowanie tego procesu etapami prowadzi w czystej formie do sowieckiego obezwolnienia. Społeczeństwo pozbawione elity, kręgów opiniotwórczych i w ogóle ludzi zdolnych do samodzielnego myślenia i działania – staje się całkowicie podatne na formowanie przez komunistów. Mamy tutaj wyborny cytat, który warto przytoczyć: „Co stanowi o metodzie działania sowieckiego na podbity naród? Tę metodę można porównać do operacji chirurgicznej polegającej na wyjmowaniu pacjentowi jego mózgu i serca narodowego. Ale wiemy, że pierwszym warunkiem jest, aby pacjent leżał spokojnie. Pod tym względem bolszewicki zabieg chirurgiczny nie tylko nie różni się od normalnego, a raczej bardziej niż każdy inny uzależniony jest od mądrze stosowanej etapowości, a warunkiem jego powodzenia jest właśnie ta straszna, milcząca, zastrachana, sterroryzowana psychiczna bierność społeczeństwa – jego bezruch, jego fizyczne poddanie. Społeczeństwo, które strzela, nigdy się nie da zbolszewizować. Bolszewizacja zapanuje dopiero, gdy ostatni żołnierze wychodzą z ukrycia i posłusznie stoją w ogonkach. Właśnie w Polsce dziś po lasach gasną ostatnie strzały prawdziwych Polaków, których nikt na świecie nie chce nazywać bohaterami”. Te słowa napisał Józef Mackiewicz w londyńskich „Wiadomościach” w roku 1947, w okresie amnestii. No cóż. My tych ludzi uważamy za naszych narodowych bohaterów i nie jest to już w tej chwili zdanie odosobnione, bo także w ten sposób traktują ich polskie władze państwowe – od niedawna – czemu dają wyraz, uczestnicząc między innymi w uroczystościach organizowanych przez Fundację.

G.W. – Jeśli chodzi o osamotnienie partyzantów i ich rodzin... Jest oczywiście mnóstwo przykładów heroicznej pomocy udzielanej osobom czynnie zaangażowanym w walkę zbrojną z komunistami, za którą ludzie płacili bardzo wysoką cenę – w najlepszym wypadku kilku lat więzienia, ale generalnie od jesieni 1945 r. poczucie osamotnienia towarzyszy im coraz silniej. Po amnestii 1947 r. jest praktycznie wszechobecne. Problem nie leży tylko w kurczeniu się zaplecza partyzantki, bo ono, wobec braku nadziei na sukces toczonych walki i powszechnego terroru, jest zjawiskiem naturalnym i zrozumiałym, ale dotyczy również, i to od samego początku, polskiej emigracji politycznej lat czterdziestych. Co wytworzyła polska emigracja polityczna, w latach czterdziestych i później, na temat podziemia, które

w Polsce bohatersko walczyło z komunistami? Wedle mojej wiedzy nie wytworzyła nic, a przynajmniej bardzo niewiele. Jakże to zupełnie inna postawa niż ta, którą przyjęła emigracja ukraińska. Ona włożyła mnóstwo wysiłku, aby uwiecznić, wręcz przekuć w legendę walkę zbrojnego ukraińskiego ruchu działającego przeciw bolszewikom. Nasza emigracja, oczywiście poza wyjątkami, zachowywała się tak, jakby w Polsce w ogóle nie zaistniał opór zbrojny przeciwko komunistom. A przecież mówimy o patriotach, którzy znaleźli się w wolnym świecie i rzeczą naturalną byłoby, gdyby starali się tę walkę i jej bohaterów przynajmniej ocalić od zapomnienia.

B.P. – Jak wytłumaczyć ten stan rzeczy?

G.W. – Emigracja ukraińska funkcjonowała i była aktywna przede wszystkim na obszarze Kanady. To ważna okoliczność. Musimy pamiętać, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, miejsca głównych skupisk polskiej emigracji lat czterdziestych, były sygnatariuszami porozumień w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Józef Mackiewicz napisał w latach czterdziestych, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, póki co w sposób lojalny wykonują postanowienia tych porozumień, więc to raczej Bolesław Bierut może się uznawać za sojusznika Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a nie ludzie, którzy w beznadziejnych warunkach biją się o niepodległość Polski i wolność człowieka. Mackiewicz w tej sprawie miał rację. Ta obserwacja chyba najlepiej oddaje atmosferę polityczną, w jakiej przyszło funkcjonować polskiej emigracji wojennej. Wszelkie działania, które kierowałyby myśl niepodległościową na zbrojną walkę z systemem komunistycznym, były z punktu widzenia krajów zachodnich bardzo niepożądane, a wiadomo przecież, jaki jest los emigranta. Ośrodki polityczne polskiej emigracji przyjęły narzucone im przez gospodarzy kalendarium. A kalendarium po II wojnie światowej zostało ustalone na potrzeby paktu z komunistami, z Józefem Stalinem. Nie było w nim miejsca dla tych, którzy, powtarzam, poszli z komunistami „na udry, a nie na pertraktację”. Tym tłumaczę brak zainteresowania po stronie polskiej emigracji walką toczoną w polskich lasach do początku lat pięćdziesiątych.

B.P. – Prawda została zdeformowana nie tylko przez komunistów, ale również przez państwa zachodnie. Przecież proces norymberski w przypadku Katynia był procesem haniebnie zakłamanym.

G.W. – Oczywiście ma pani rację. W tamtym okresie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone były politycznymi sojusznikami Sowietów. Stąd w procesie norymberskim, który przecież miał odegrać rolę symbolicznego fundamentu sprawiedliwej rzeczywistości powojennej, Niemcy zostali oskarżeni o zbrodnię katyńską, oskarżali ich sprawcy tej zbrodni – Sowietci, a Trybunał stać było tylko na to, żeby Niemców za zbrodnię katyńską nie skazać. Zarzut dokonania zbrodni katyńskiej po prostu został pominięty w treści wyroku Trybunału. To był symboliczny początek nowego ładu politycznego w Europie. Można było – tu znowu czerpię z Mackiewicza – w okresie zimnej wojny porównywać Stalina do Hitlera i zarzucać mu, że zawarł w 1939 r. sojusz z Hitlerem, ale nigdy odwrotnie, to znaczy nigdy nie można było porównywać Hitlera do Stalina i zarzucać Hitlerowi, że zawarł sojusz ze Stalinem. A gdzie, w jakim porządku, jest powiedziane, że mordowanie ludzi za przynależność do określonej rasy jest gorsze od mordowania ludzi za przynależność do określonej klasy czy za światopogląd? Nigdzie. A przecież, dochowując wierności faktom, trzeba pamiętać, że

kiedy w 1919 r. w Związku Sowieckim działało blisko 100 obozów koncentracyjnych, Adolf Hitler był nikomu nieznanym włóczęgą. Zmierzam do tego, że na potrzeby uzasadnienia zawartego przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię paktu z Józefem Stalinem amputowano pewien okres historyczny, dokładnie od rewolucji bolszewickiej 1917 r. do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. Z punktu widzenia aliantów Józefa Stalina taki zabieg był niezbędny, ponieważ przyjęte przez nich rozumowanie, że stanięcie po stronie jednego mordercy przeciwko drugiemu mordercy jest zasługą dla świata i demokracji, a stanięcie po stronie drugiego mordercy przeciwko pierwszemu mordercy jest zbrodnią i powoduje odsądzenie od czci i wiary, jest trudne do obrony. Nie mówię tego, aby sugerować, że może należało wybrać sojusz z Niemcami przeciwko Sowietom.

Dlaczego zatem o tym mówię? Bo mam nadzieję, że ten opis pokazuje, w jakich realiach politycznych, również w skali makro, żołnierzom podziemia antykomunistycznego przyszło prowadzić swoją walkę. W tych warunkach, w sensie militarnym, nie miała ona żadnych szans na powodzenie. Nie w tej przestrzeni należy oceniać jej wartość. Dla mnie jest rzeczą niezwykłą fenomen kilkuletniego trwania w tej walce, wbrew wszystkim przeciwnościom losu, pomimo beznadziejnej sytuacji politycznej i militarnej. Przywołuję tu symboliczną postać – nieznanego nazwiska partyzanta „Orła”, który

A gdzie, w jakim porządku, jest powiedziane, że mordowanie ludzi za przynależność do określonej rasy jest gorsze od mordowania ludzi za przynależność do określonej klasy czy za światopogląd? Nigdzie.

bił się z komunistami do 1950 r. i zginął za sprawy, które są mi bliskie. Jestem beneficjentem wolności, mogę swobodnie wybierać swoje cele i je realizować. Czuję się dłużnikiem tych ludzi, ich ofiary. Chyba to właśnie najbardziej popycha mnie

do działania w ramach Fundacji. Podobnie czują moi koledzy, z którymi działania te podejmuję. Podobną wrażliwość mają sponsorzy Fundacji, dzięki którym może ona prowadzić działalność. My – skupieni wokół idei Fundacji – pamiętamy o walczących z komunistami o niepodległość Polski i wolność człowieka. Stąd właśnie taka nazwa Fundacji – „Pamiętamy”.

B.P. – Panowie pamiętają, ale sami powiedzieliście o tym, że nawet rodziny żołnierzy niszczyły zdjęcia. Mnie fascynuje ta materialna baza, którą dysponujecie. Przede wszystkim zdjęcia i dokumenty, które przecież mają osobną jeszcze historię – część ludzi spośród tych, którzy ocalili, jeszcze żyje.

K.K. – Znajdujemy się w tej chwili w ciekawym momencie. Umiera pokolenie, które tworzyło wojenną i powojenną historię Polski, uczestniczyło w niej i na własnej skórze doświadczało funkcjonujących wówczas mechanizmów dziejowych. Za kilka lat z tych ludzi nikogo już nie będzie. To pokolenie odchodzi. Mieliśmy możliwość rozmawiania z nimi, przebywaliśmy z nimi, nie setki – ale tysiące godzin, w jakimś sensie patrzymy teraz na przeszłość ich oczyma, rozumiemy ich punkt widzenia. Ale za kilka lat podstawowym źródłem do badania tego okresu naszych dziejów pozostaną już tylko dokumenty, w znacznej części wytworzone przez UB. Historycy będą pracować głównie na podstawie materiałów tej właśnie proveniencji, bez możliwości skonfrontowania informacji tam zawartych z tym, co zapamiętali

ludzie znajdujący się po przeciwnej stronie barykady. Nikt już nie będzie mógł powiedzieć o pracy jakiegoś historyka: „To nieprawda, ja to widziałem, dotknąłem tego ręką, ja to przeżyłem, to działo się na moich oczach – a tu ktoś pisze coś zupełnie innego, to było nie tak!”. Już teraz możemy zaobserwować tendencję do wykreowania nowego obrazu historii, do pewnego relatywizmu, zrównania ofiar z oprawcami. Te zjawiska na pewno będą się potęgować.

Wracając do odchodzącego pokolenia naszych bohaterów, mogę jeszcze dodać, że zostanie po nich garść pamiętników i relacji, ale nie po wszystkich, nie w takiej ilości, w jakiej powinno. Wiele „zawdzięczamy” tutaj znów komunistom, generałowi Jaruzelskiemu i jego stanowi wojennemu. Wielu ludzi w latach osiemdziesiątych, w momencie solidarnościowego przełomu, otworzyło się, zaczęli składać relacje, pisać pamiętniki. Gdy w stanie wojennym znów zaczęli przyjeżdżać do nich esbecy, to oni te pamiętniki spalili i całkowicie się zamknęli. To zjawisko widać było nawet w korespondencji z tymi ludźmi. Wiele rzeczy znów bezpowrotnie przepadło.

G.W. – Oceniając dorobek Fundacji, bardzo się cieszę, że suma naszych działań powoduje, iż ludzie, których ofiarę upamiętniamy – mówiąc górnolotnie – zmartwychwstają dla kultury. Kultury rozumianej jako pozytywny dorobek człowieka. Komuniści z tej kultury ich wykreślili. A oni przecież idealnie mieszczą się w poetyce Herberta, który w *Przestaniu Pana Cogito* napisał: „bądź odważny, kiedy rozum zawodzi, bądź odważny”, a na końcu wiersza „bądź wierny”, i w przekazie Andrzeja Bobkowskiego – że czasami, w obronie cywilizacji, trzeba „iść na udry, a nie na pertraktację”. Materializacja takiej postawy w działaniach i czynach, w życiu realnym, a nie w poezji czy literaturze – najbardziej kojarzy mi się właśnie z nimi. W broszurze poświęconej kapitanowi „Młotowi” jako motto umieściliśmy fragment znalezionej przez Kazimierza odezwy 6. Brygady Wileńskiej: „święcie będziemy stać na straży wolności i suwerenności Polski i nie wyjdziemy dotąd z lasu, dopóki, choć jeden sowiet będzie deptał polską ziemię”. Jak napisali, tak zrobili. Bili się do końca. Nie wyszli z lasu, w nim zginęli. To są słowa, które zostały napisane, nazwijmy to, przez jasną stronę człowieczeństwa. Henryk Elzenberg napisał, że ma poczucie absolutnej dwutorowości dziejów – dziejów zbrodni i dziejów ducha, „które idą obok siebie bez najmniejszego wzajemnego oddziaływania i tworzone są przez gatunki ontologicznie bardziej sobie obce niż w zoologii jaszczury i amonity”. Uważam, że to niezwykle trafna myśl, wystarczy zestawzić z sobą jakobinów i wandejczyków, Robespierre’a i dowodzącego armią Wandeï Cathelineau, bolszewików i żołnierzy Armii Ochotniczej Kornilowa, gestapowców i żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, a także powstańców z warszawskiego getta, oprawcę Schulza i Jana Bytnara „Rudego”, ubeków i żołnierzy konspiracji antykomunistycznej, Humera i Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, Jaruzelskiego, Kiszczaka i poległych 16 grudnia 1981 r. górników KWK „Wujek”, żeby pochylić przed nią czoła. Wierzę, że naród to spójnia duchowa wytworzona przez szereg pokoleń wiernych fundamentom naszej cywilizacji, że to elzenbergowskie dzieje ducha. Dlatego też czuję więź z ludźmi, którzy w najgorszych, niewyobrażalnych wprost warunkach prowadzili w obronie wartości wysokich – takich jak wolność i niepodległość – skazaną na militarną klęskę walkę z komunistami. To jest moja

Już teraz możemy zaobserwować tendencję do wykreowania nowego obrazu historii, do pewnego relatywizmu, zrównania ofiar z oprawcami.

wrażliwość i to są moje wartości. Nigdy nie zainteresuje mnie etos wewnątrzpartyjnego „oporu”. Podobnie jak dzieje ludzi, którzy w 1964 r. powodowani, jak sądzę, troską o światowe zwycięstwo jedynie słusznej ideologii, napisali list do partii komunistycznej, podnosząc w nim, że jeszcze pewne rzeczy nie są realizowane przez partię tak jak należy. Bez wątpienia był to gest wymagający dużej odwagi cywilnej, ale miał służyć zupełnie czemu innemu niż walka prowadzona w obronie wartości, o których mówiłem. Wracając do tematu naszej rozmowy – stawiam tezę, że prawda o niesamowitym przecież wysiłku polskiego społeczeństwa, ciężko poranionego w wojnie z nazistami, którym było prowadzenie momentami spektakularnej walki z komunistami, nadal jest tajemnicą pasjonatów tematu i historyków IPN, których znakomite w tym zakresie prace, ale wydawane w niewielkich nakładach i dla zainteresowanych, stanu tego nie odmienią. Oczywiście, bardzo dobrze, że opracowania te wychodzą, bez nich przyrost wiedzy na temat powojennego podziemia nie byłby możliwy, ale dopóki ta historia nie zostanie zaadaptowana na grunt kultury masowej, pokazana w filmie fabularnym, przeniesiona na karty powieści, dopóty ona nie będzie istnieć. Tylko kto ma ten film nakręcić i kto ma te książki napisać? Oto jest pytanie.

K.K. – Wielu historyków-peerelistów opór przeciw systemowi komunistycznemu i walkę z nim postrzega głównie przez pryzmat jego kolejnych etapów „reformowania” i „oswajania”. Dla nich walka o nową rzeczywistość Polski zaczyna się w roku 1956, w próbach wewnętrznych rozgrywek i „reform” wewnątrzpartyjnych. Inni ten początek oporu widzą w roku 1968, a na pewno już w 1976, kiedy powstała „opozycja demokratyczna”. Historycy ci „gubią” całkowicie społeczne znaczenie walki prowadzonej przez całe pokolenie akowskie; walki, choć zupełnie przegranej, ale jednak ogromnie ważnej. Wedle oficjalnych danych, cena tej walki to ponad 4 tysiące wykonanych wyroków śmierci (orzeczonych przez Wojskowe Sądy Rejonowe), a także około 21 tysięcy osób zmarłych bądź zamęczonych w więzieniach karno-śledczych (jest to lista imienna, z natury rzeczy niepełna). Jeśli chodzi o obozy jenieckie i obozy pracy przymusowej, szacunki dotyczące ofiar – do 1950 r. – wahają się pomiędzy

Czuję więź z ludźmi, którzy w najgorszych, niewyobrażalnych wprost warunkach prowadzili w obronie wartości wysokich – takich jak wolność i niepodległość – skazaną na militarną klęskę walkę z komunistami. To jest moja wrażliwość i to są moje wartości. Nigdy nie zainteresuje mnie etos wewnątrzpartyjnego „oporu”.

25 tysiącami a 60 tysiącami osób. W latach 1944–1956 przed sądami powszechnymi wszelkiego typu skazano na śmierć, prawomocnymi wyrokami w pierwszej instancji, co najmniej 2150–2250 osób. Z kolei sądy wojskowe latach w latach 1943–1945 skazały na śmierć co najmniej 1400 osób, z czego w stosunku do połowy skazanych kara została wykonana. Działające w 1946 r. sądy doraźne KBW (formalnie wydziały ds. doraźnych przy sądach okręgowych) skazały na śmierć co

najmniej 360 osób (wszystkie wyroki wykonane). Nie wiadomo też, jaka była liczba ofiar, działających zupełnie poza prawem, partyjnych „szwadronów śmierci”. Nie wiemy też, ilu ludzi zamęczono podczas prowadzonych metodami gestapowskimi przesłuchań oraz ilu zabiło NKWD, UB, KBW i ludowe WP podczas pacyfikacji terenów wiejskich. Tych ludzi nikt nigdy nie porachował, lecz wiadomo, że w grę wchodziły dalsze tysiące ofiar. Ponad

50 tysięcy Polaków wywieziono do obozów koncentracyjnych w ZSRS. Podawana często liczba 250 tysięcy osób represjonowanych w latach 1945–1956 z powodów politycznych i uwięzionych w więzieniach lub obozach jest zapewne zaniżona. W latach 1944–1950 przez obozy pracy przymusowej przewinęło się co najmniej 300 tysięcy osób (w tym ok. 50 tys. jeńców niemieckich). W latach 1945–1954 sądy wojskowe skazały za tzw. przestępstwa przeciwko państwu ok. 81,5 tys. osób. To jest niewyobrażalny ogrom strat społeczeństwa – i ogrom zbrodni dokonanych przez komunistów.

B.P. – A ilu żołnierzy zginęło w walce?

K.K. – Liczba około 8600 poległych w walce z bronią w ręku, podawana na podstawie zestawień KBW, nie jest w pełni wiarygodna i oddaje jedynie skalę strat – już na pierwszy rzut oka znaczną. Z pewnością trzeba będzie te straty liczyć od nowa. Trzeba będzie też do zestawienia, o którym mówimy, dodać polskich partyzantów poległych po tzw. wyzwoleniu na terenie Ziemi Utraconych. Naprawdę będą to znaczne liczby.

G.W. – To wszystko dzieje się w atmosferze paraliżującego społeczeństwa, wszechobecnego komunistycznego terroru oraz propagandy. Podam jako przykład zdarzenie z grudnia 1946 r. Wtedy to jeden ze szwadronów 6. Wileńskiej Brygady AK kpt. „Młota” przeprowadził akcję zakończoną „likwidacją” ośmiu funkcjonariuszy „resortu”, w tym kilku przedwojennych kapepowców (członków Komunistycznej Partii Polski) i weteranów komunistycznych Brygad Międzynarodowych z wojny domowej w Hiszpanii, którzy zostali wysłani na teren powiatu sokołowskiego do fałszowania zaplanowanych na styczeń 1947 r. wyborów. Funkcjonariusze ci mieli piastować funkcję szefów obwodowych komisji wyborczych. Przy każdym z nich partyzanci „Młota” znaleźli legitymację resortu i broń krótką. Wobec nadciągającej obławy wojsk KBW zostali przez „młotowców” zastrzeleni. Do historii PRL przeszli jako „robotnicy z Chodakowa”, porąbani siekierami przez reakcyjne podziemie zbrojne.

K.K. – Jeszcze kilka lat temu marszałek Sejmu Borowski i profesor Pastusiak w debacie o WiN w ten sposób wypowiadali się na temat tego zdarzenia.

G.W. – Oczywiście żadne rąbanie siekierami ani torturowanie nie miało miejsca. Jak mówiłem, funkcjonariusze „resortu” zostali zastrzeleni. Reakcją komunistów było uderzenie w ludność powiatu sokołowskiego. Nastąpiły masowe aresztowania pośród osób zakwalifikowanych przez reżim jako potencjalni przeciwnicy, najczęściej niezwiązanych w ogóle z partyzantką antykomunistyczną. Doszło do publicznych egzekucji. To nie są realia Warszawy ze stycznia 1944 r., z czasów Kutschery, to realia Podlasia z grudnia 1946 r.

K.K. – Żołnierze KBW spędzali mieszkańców osady w jedno miejsce, proces odbywał się w taki sposób, że oskarżonym coś odczytywano (zebrani nawet tego dokładnie nie słyszeli), przeprowadzano na rynek, od chwili odczytania wyroku do rozstrzelania lub powieszenia miało kilkanaście minut, tyle czasu komuniści potrzebowali do realizowania „ludowej sprawiedliwości”. W samym powiecie sokołowskim po akcji „Młota” na „robotników z Chodakowa” aresztowano grubo ponad tysiąc osób, aresztowania trwały również w sąsiednich powiatach. Część ludzi zwolniono, nie wszystkich postawiono przed sądem i skazano na więzienie, ale wszyscy ci ludzie przeszli przez proces bicia, upokarzania, znacznie



Pomnik „Ogień” w Zakopanem

poważniejszy od znanych nam „ścieżek zdrowia”. Zatrzymanych gromadzono w szkołach. Żołnierze KBW bili ich kolbami i deskami, nawet starych ludzi, którzy nie akceptowali władz komunistycznych, nie potrafili powiedzieć, kto jest prezydentem albo jak się nazywa któryś z przedstawicieli władz. Były przypadki samobójstw starych ludzi, którzy nie byli w stanie tego bicia wytrzymać. A może to nie były samobójstwa?

G.W. – W Kamieńczyku nad Bugiem człowiek liczący ponad dziewięćdziesiąt lat opowiadał mi, że był świadkiem jednej z tych egzekucji. W pewnym momencie dowodzący plutonem egzekucyjnym krzyknął: „po bandycie – ognia!” i władza komunistyczna zlikwidowała „wroga ludu”. Jak mi to opowiadał, zapłakał. Po tylu latach.

B.P. – Powróćmy jeszcze w tym kontekście do tego wątku, że dla niektórych walka o zmianę rzeczywistości zaczyna się w latach sześćdziesiątych.

G.W. – Proszę zwrócić uwagę, że jednocześnie wielu ludzi nie ma specjalnych problemów z zaadaptowaniem na potrzeby własnej wrażliwości historycznej etosu Powstania Warszawskiego. W tym wypadku walka zbrojna o wolność, pomimo niewyobrażalnego ogromu ofiar, jest akceptowana, mówi się dość powszechnie, że bez Powstania Warszawskiego nie byłoby „Solidarności” i niepodległości. Poza tym praktycznie nikt nie ma wątpliwości, że była to walka w dobrej sprawie – o wolność i niepodległość – moralnie słuszną, a ewentualne pytania dotyczą jedynie tego, czy we właściwym momencie została podjęta. W przypadku walki z komunistami – prowadzonej przecież o te same cele – ta zasada już nie obowiązuje, zwłaszcza w kręgach intelektualnych. Czy poza Herbertem, Mackiewiczem i jeszcze dwoma–trzema osobami – jakiś człowiek kultury dał świadectwo, że uznaje tę walkę za wartą uznania, a bohaterów tej walki za godnych wysiłku obrony ich dobrego imienia?

B.P. – Jaka jest w tej sprawie pana diagnoza?

G.W. – Oczywiście przyczyn jest wiele. Jedną z najważniejszych jest to, że w tle dyskursu historycznego trwa walka o obronę życiorysów wielu ludzi wykreowanych czy aspirujących do roli autorytetów. Najczęściej są to osoby, które przewinęły się w różnych okresach przez struktury partii komunistycznej, a w każdym razie w peerelu żyły wygodnie, w tej czy innej formie funkcjonując w oficjalnej przestrzeni publicznej, która, pamiętajmy, znajdowała się pod pełną, totalną kontrolą partii komunistycznej. Trudno bronić takiego życiorysu, a przecież to normalna, ludzka rzecz, że człowiek chce usprawiedliwić swoje wybory, jeżeli komunizm definiuje się i ocenia w taki sposób, w jaki my to robimy. Deformacja rzeczywistości po 1989 r. polegała m.in. na wmawianiu nam, że odzyskana wolność jest sumą zabiegów ludzi, którzy kiedyś w partii komunistycznej byli i z niej wyszli, przechodząc do opozycji, a także starań równie wielu uczciwych ludzi, którzy w tej partii pozostali do końca, żeby odmienić losy kraju, żeby na nią wpływać od wewnątrz. Za kulminacyjny moment tego zakłamania uznaję ceremonię udekorowania przez prezydenta Kwaśniewskiego Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia Orderami Orła Białego z uzasadnieniem, które mniej więcej brzmiało: „byliście pierwszymi, którzy w sposób otwarty napiętnowali system dyktatury”. Jaka jest reakcja ośrodków opinii publicznej na tę potworną deformację rzeczywistości? Żadna. To dowód na to, że przez okres PRL skutecznie amputowano nam

świadomość tego, co się działo w Polsce w okresie pomiędzy 1944 a 1956 r., jak również na to, że w latach dziewięćdziesiątych ten stan nieświadomości nie uległ zmianie. Nie da się w obrębie spójnego systemu myślowego odnosić jednocześnie z pieczę do postaci majora „Łupaszki”, kapitana „Młota”, majora „Zapory” i ich podkomendnych – oraz do ludzi, którzy jeszcze do lat sześćdziesiątych–siedemdziesiątych, a nierzadko i osiemdziesiątych – funkcjonowali w strukturach PZPR. Jedno wyklucza drugie. Ludzie młodzi, nieskażeni peerelem, na ogół rozumują zdrowo, normalnie. Sądzę, że gdyby zetknęli się z prawdą o walce podziemia antykomunistycznego, z bohaterstwem jego żołnierzy, a tak by się stało, gdyby temat ten podjęły współczesna literatura i film, to mieliby dla niej należyty szacunek. Wtedy trudno byłoby przekonać ich do „wielkości” życiorysu zaczynającego się na przykład w taki sposób: „Ja, autorytet moralny, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dotknięty ukąszeniem heglowskim, a przez kolejnych trzydzieści lat wierzący, że można zreformować partię komunistyczną – itd., itd.” – oraz że właściciel takiego życiorysu posiada legitymację do ubierania się w szaty moralnego autorytetu.

Dowodem nie wprost, że trafnie diagnozujemy rzeczywistość, jest to, iż pierwszym filmem współczesnym o oddziale AK walczącym z komunistami będzie produkcja rosyjsko-białoruska, z kilkumilionowym budżetem, po części finansowana przez państwo rosyjskie. Jak doniosły media, będzie to film o „bandzie AK”, operującej w okolicach Grodna, z którą walczą bohaterscy oficerowie NKWD. Wrócili oni z wojny i spokojnie chcą żyć, a polska banda z Armii Krajowej terroryzuje okoliczną ludność. Paradoks polega na tym, że pierwszy współczesny film o walce oddziału podziemia poakowskiego nakręca Rosjanie i Białorusini, przedstawiając tę walkę w taki sam sposób, jak twórcy peerelowscy. Na marginesie należy zauważyć, że przez cały czas grzęźniemy w nieprawidłowej semantyce. Jak słyszę o „polskiej szkole filmowej” i przywoływanych w tym kontekście filmach Andrzeja Wajdy, to się buntuję. To nie jest żadna „polska” szkoła filmowa, tylko „peerelowska” szkoła filmowa. Twórcę ocenia się nie tylko przez pryzmat tego, co napisał, ale również przez pryzmat tego, co przemilczał. Jeśli *Popiół i diament* – z ginącym na symbolicznym „śmietniku historii” żołnierzem niepodległościowego podziemia – ma być sztandarowym dziełem „polskiej szkoły filmowej”, to jest to dowód na zapaść semantyczną. Nazwanie tego obrazu wytworem „polskiej szkoły filmowej” jest doprawdy nieporozumieniem, bo to była „peerelowska szkoła filmowa”.

B.P. – Żaden system nie doprowadził do takiej deprecjacji znaczenia słowa „prawda”, jak komunizm. Każdy, kto włączył się w jego oficjalny krwiobieg, płacił wysoką cenę zakłamania. Jak długo zdolali dotrwać ostatni z „wyklętych”?

G.W. – Józef Franczak „Lalek”, partyzant AK jeszcze z czasów okupacji niemieckiej, zginął dopiero w październiku 1963 r. Inny z ostatnich – Stanisław Marchewka „Ryba”, oficer Kedywu Obwodu AK Łomża (kawaler Krzyża Virtuti Militari), zginął w marcu 1957 r. Po ujawnieniu się w 1947 r. prowadził spokojny żywot na terenie Łodzi. Trwało to tak do 1952 r., tj. do chwili, w której funkcjonariusze UB usiłowali zmusić go do pracy operacyjnej przeciwko dawnemu dowódcy – majorowi Janowi Tabortowskiemu „Bruździe”. Ponieważ resort nie był w stanie uporać się z nieuchwytnym „Bruzdą”, bezpieczeństwa zmusiła „Rybę” do podpisania zobowiązania do współpracy, sprowadzającej się do wydania „Bruzdy”. Co zrobił „Ryba”? Pojechał w Białostockie, powiedział „Bruździe”, jaka jest sytuacja, i w ten sposób „zamknął za sobą drzwi” – od tej chwili nie miał już szans na „łaskę” ze strony komunistów. Docho-
wując wierności staremu towarzyszowi broni – podpisał na siebie wyrok śmierci.

K.K. – W jednym z ostatnich oddziałów partyzanckich, w oddziale „Roja” (oddział liczył w latach pięćdziesiątych kilkunastu ludzi), przynajmniej trzech zostało wcześniej zmuszonych przez UB do podpisania deklaracji współpracy agenturalnej. Natychmiast po podpisaniu tej deklaracji poszli do lasu, zgłosili się do „Roja”, szczerze mu to wyznali i w szeregach jego oddziału wszyscy ponieśli śmierć.

G.W. – To był akt poświęcenia samego siebie, żeby nie zostać Judaszem...

B.P. – Obaj panowie weszli w świat żołnierzy podziemia niepodległościowego z zewnątrz, jako ludzie młodzi. Nie wiem, czy z rekomendacji, czy z przekonującym żarem w oczach. Jak to było?

K.K. – Mieliśmy to szczęście, że zaczęliśmy na poważnie interesować się historią w okresie „schyłkowej komuny”, nie będąc przecież zawodowymi historykami, w okresie, kiedy jeszcze wielu twórców i uczestników tych wydarzeń żyło. Zebraliśmy setki relacji, przeprowadziliśmy setki rozmów i możemy to dzisiaj konfrontować z dokumentami, które znajdują się w aktach resortu bezpieczeństwa – obecnie w archiwach IPN. Możemy konfrontować te wszystkie suche zapisy – często zawierające błędy, interpretacje ulegające przekłamaniu z powodu głębokiego skażenia ideologicznego – z punktem widzenia ludzi z drugiej strony barykady. To pozwala na uzyskanie znacznie pełniejszego i prawdziwszego obrazu. Zaczynaliśmy naszą wielką przygodę z historią od zdobycia zaufania ludzi walczących o niepodległość i od uzyskania od nich ich przekazów. W latach osiemdziesiątych historycy zawodowi w tej konkurencji kompletnie się nie liczyli. To byli historycy koncesjonowani, na rządowym garnuszku, którzy realizowali takie tematy i zadania, które im się opłacały, przynosiły profity w postaci publikacji itd. Tematy, które były dla nas ważne – nie tylko takie gwarancji nie dawały, ale wręcz nie miały prawa zaistnieć.

G.W. – Chyba że na zlecenie partii komunistycznej – na kolejną okrągłą rocznicę „resortową”.

Za kulminacyjny moment tego zakłamania uznaję ceremonię udekorowania przez prezydenta Kwaśniewskiego Karola Modzelewskiego i Jacka Kuroń Orderami Orła Białego z uzasadnieniem, które mniej więcej brzmiało: „byliście pierwszymi, którzy w sposób otwarty napiętnowali system dyktatury”. Jaka jest reakcja ośrodków opinii publicznej na tę potworną deformację rzeczywistości? Żadna.

K.K. – Powojennym podziemiem niepodległościowym w owym czasie zajmowali się wyłącznie amatorzy, jacyś zapaleńcy, bez żadnych grantów, na własny koszt, wkładając w to naprawdę mnóstwo pracy i czasu. Objechaliśmy dosłownie całą Polskę, docierając do ludzi, którzy brali udział w tamtych zdarzeniach. Byliśmy przekazywani od jednego człowieka do następnego. Oczywiście trzeba było mieć rekomendację, jedni nam zaufali, inni pozostali zamknięci. Nagrywaliśmy, zbieraliśmy od ludzi pisemne relacje, prowadziliśmy obszerną kore-

spondencję. Teraz odnajdujemy w aktach IPN zdjęcia z tzw. depozytów, czyli zarekwirowane przy aresztowaniu. To są zdjęcia ludzi zabitych przez „resort” – setki, tysiące zdjęć ludzi obdartych, bo komuniści mieli jakąś taką szczególną manię do upodlenia przeciwnika także po śmierci – obdarcie, bez butów, w białiznie.

B.P. – Jedno z najbardziej przejmujących zdjęć w albumie o „żołnierzach wyklętych” przedstawia żołnierza w poszarpanym przez psy biorące udział w obławie ubraniu, który obejmuje dwóch, nieżywych już towarzyszy. To zdjęcie ubeckie z obławy na grupę „Żelaznego”. I ten człowiek oczywiście też został skazany na karę śmierci.

K.K. – Odbiliśmy szereg podróży historycznych, rozmawiamy z ludźmi w miejscach, gdzie dokonujemy upamiętniania. Ciągłe można się jeszcze czegoś nowego od ludzi dowiedzieć. I to jest materiał, który doskonale uzupełnia dokument. Koledzy, którzy zajmują się okresem „opozycji demokratycznej” czy okresem „Solidarności”, z relacji korzystają w bardzo niewielkim stopniu. Oczywiście, pamięć jest zawodna, ludzie wpadają w megalomanię, nie wszystkie świadectwa mogą być wiarygodne, jednak źródło, jakim jest relacja, wydaje się nadmiernie lekceważone przez nich.

B.P. – Czy efektem działań Fundacji jest obudzenie zainteresowania historią walki podziemia antykomunistycznego w pokoleniu najmłodszym?

G.W. – W sierpniu 2005 r. zorganizowaliśmy w Perlejewie uroczystość w sześćdziesiątą rocznicę walki 5. Brygady Wileńskiej z grupą pacyfikacyjną NKWD w Miodusach Pokrzywnych w powiecie bielskopodlaskim. To było jedno z największych zwycięstw polskiego podziemia w walkach z Wojskami Wewnętrznymi NKWD. Obok cmentarza w Perlejewie, gdzie spoczywa kilku partyzantów 5. Brygady poległych w tej walce, po uroczystej Mszy świętej i odczytaniu apelu poległych, zorganizowaliśmy rekonstrukcję jednego z epizodów walk partyzanckich – były pojazdy i mundury z epoki, broń wypożyczona z Łódzkiej Szkoły Filmowej...

K.K. – ...i Trójmiejska Grupa Rekonstrukcji Historycznej.

G.W. – To grupa pasjonatów, którzy w sposób na pół „zawodowy” zajmują się rekonstrukcją wydarzeń historycznych. Choć Perlejewo to nieduża osada, a uroczystość odbywała się w dzień powszedni w czasie żniw, przybyło kilkaset osób. Gdy parę miesięcy później, przy okazji uroczystości Wszystkich Świętych, dokonywaliśmy corocznego objazdu grobów partyzanckich, żeby zapalić lampki i pomodlić się na mogiłach – na grobie partyzantów w Perlejewie płonęło kilkadziesiąt lampek i leżało mnóstwo wieńców. To jest wyraźny dowód, że dla lokalnej społeczności ten grób stał się panteonem narodowej pamięci. Mamy nadzieję, że swoimi działaniami przyczyniliśmy się do tego – i nie wątpimy, że kolejne pokolenia nie zapomną o tym miejscu. Podobnie jest i w innych miejscowościach – przy odnowionych przez Fundację grobach i na wzniesionych przez nią pomnikach zawsze odnajdujemy dowody pamięci o bohaterach poległych za niepodległość.

K.K. – Staramy się tę pamięć podtrzymywać, bo stare pokolenie pamiętające tamte heroiczne zdarzenia odchodzi. Wędrując po Podlasiu, zawsze staramy się rozmawiać z ludźmi.

Muszę przyznać, że ja sam nigdy nie odnotowałem przypadku, by ktoś ze starego pokolenia powiedział o ludziach walczących po wojnie z komunistami – „bandyci”. Jednak dla historyków o postkomunistycznej proveniencji oraz lewicujących intelektualistów nadal zakwalifikowanie tej walki jest problemem zupełnie realnym...

Nasi bohaterowie są dokładnie tacy sami jak ci z 1863 r. Tylko czy społeczeństwo roku 2006 jest gotowe dać taką samą odpowiedź na pytanie o wartości najwyższe, jak społeczeństwo z 1918? Mam ogromne wątpliwości i między innymi dlatego potrzebne są te działania.

G.W. – Niedawno byłem w Lesie Rudzkim, obwoziłem najbliższych kapitana Władysława Łukasiuka „Młota” po miejscach, w których spędził ostatni okres swojego życia. Byłem w towarzystwie jednego z jego synów i dwóch wnuczek. Wędrował z nami przez jakiś czas mieszkaniowiec Czaj, który powiedział w pewnym momencie: „żeby pan wiedział – dla mojego ojca i dla pokolenia mojego ojca

walka tych ludzi była rzeczą świętą. Spędzali tutaj ostatni okres swojego życia, dlatego że czuli się tu bezpieczni, tutaj cieszyli się powszechnym szacunkiem i zaufaniem ludzi. Teraz jest niestety inaczej. Ta ziemia przeszła nie tylko przez piekło, ale i przez kilkadziesiąt lat natarczywej propagandy komunistycznej – niech pan o tym pamięta”. Wiąż pokoleniowa została zerwana i jednocześnie przekaz rodzinny przestał istnieć – wspominaliśmy już o tym.

B.P. – Odpowiada się własnym życiem, nie wciągając w to ani pokolenia wstecz, ani pokolenia następnego.

G.W. – No tak, tylko w wymiarze makrospołecznym ceną jest zapomnienie i deformacja rzeczywistości. Bo gdy na brak przekazu rodzinnego nakłada się zinstytucjonalizowana, państwowa propaganda, to mamy później stan rzeczy, z jakim w tej chwili musimy się borykać.

B.P. – A jednak mamy obowiązek, żeby z niepamięci wydobywać prawdę.

G.W. – Pełna zgoda. Herbert w wierszu *Prolog* napisał „Muszę ich zawieźć w suche miejsce/ i kopczyk z piasku zrobić duży/ nim im historia sypnie kwiatem/ i mokry zielny sen odurzy”. Dla mnie, dla Kazimierza i moich przyjaciół to jest imperatyw, że należy z tej otchłani, w którą zostali wrzuceni przez komunistów, wydobyć ich i przywrócić kulturze polskiej.

B.P. – ...bez strategii takiej, czy będą o nas pamiętać...

G.W. – Erkaemista z oddziału „Zapory” opowiadał nam o jednym z wielu bojów z przeważającymi siłami „resortu”. Kiedy doszedł do momentu przełamania impasu w walce, powiedział – „wtedy rozwinęliśmy się do ataku i poszliśmy na przepadłe”. Ta opowieść ilustruje w sposób symboliczny dzieje całego podziemia niepodległościowego walczącego z komunistami. „Żołnierze wyklęci” w obronie cywilizacji i w obronie wartości najwyższych poszli na przepadłe...

Fundacja powstała, aby upamiętniać ludzi, którzy zdecydowali się stawić zbrojny opór komunistom. W przeważającej części swój wybór opłacili ceną najwyższą, czyli ceną życia, pozostali zaś – ceną złamanego życia. Działania naszego środowiska poświęcone upamiętnianiu przywracaniu dobrego imienia podziemiu antykomunistycznemu datuje się od początku lat dziewięćdziesiątych.

B.P. – Jedną z form tego upamiętniania jest wystawa „Żołnierze wyklęci”.

G.W. – Materiały do niej koledzy zbierali już wcześniej, wystawa jeździła po Polsce, były kontakty z ludźmi, w wyniku których spływały kolejne materiały. Wystawa była prezentowana w Sejmie RP w 1999 r. Nawiasem mówiąc, odegrała w stosunku do wielu postów o lewicowej proveniencji ważną, edukacyjną rolę. Zobaczyli na dziesiątkach plansz setki i tysiące twarzy młodych, inteligentnych ludzi, odwołujących się do symboliki religijnej i patriotycznej, w mundurach Wojska Polskiego, co nie zgadzało się zupełnie z wizerunkiem „bandytów” z komunistycznej propagandy. Był też album *Żołnierze wyklęci*, który doczekał się dwóch wydań, autorami tekstów w albumie są między innymi liczni obecni pracownicy IPN – łącznie z prezesem Januszem Kurtyką. Wielu z nich do dziś współpracuje z Fundacją – np. Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski, Maciej Korkuć, Piotr Niwiński. Pierwszy raz wystawa „Żołnierze wyklęci” została pokazana w roku 1993. Miała zupełnie inną formę niż wystawa sejmowa. Jeszcze dziś pamiętam, jak przypinaliśmy pineskami każde zdjęcie do planszy wystawowej, to była praca benedyktyńska. Po raz pierwszy prezentowaliśmy ją na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy jeszcze nikt nie myślał o IPN. Działaliśmy na forum Ligi Republikańskiej. Pamiętam, z jakim oporem do publicznej dyskusji przebiła się myśl, że archiwa PRL powinny zostać ujawnione. Gdy w 1994 roku zbieraliśmy podpisy pod apelem, żeby te archiwa ujawnić, sami oceniliśmy się, przyjmując w tekście apelu, że dotyczy on tylko archiwów z lat 1944–1956. Wiedzieliśmy, że jeżeli ten okres rozszerzymy do 1989 r., to poza Zbigniewem Herbertem, Kazimierzem Orłosiem, Markiem Nowakowskim i może jeszcze dwoma, trzema osobami, nikt ze znanych nazwiskiem nie podpisze nam tego apelu. Ponieważ ograniczyliśmy się do roku 1956, to udało nam się jeszcze kilka podpisów zebrać.

K.K. – Nic nie różni „żołnierzy wyklętych” w sferze ideowego wyboru od powstańców warszawskich, od uczestników konspiracji Armii Krajowej czy od powstańców styczniowych, co do zasług których w odzyskaniu niepodległości w 1918 r. nikt nie miał wątpliwości. Choć walka ich nie miała na-



Kombatanci podczas odsłonięcia pomnika w Czajach

dziei na zwycięstwo, chociaż przysporzyli społeczeństwu olbrzymich cierpień, to jednak są bohaterami narodowymi, bo walczyli o wolność, o niepodległość. Cieszyli się powszechnym szacunkiem, dlatego że społeczeństwo polskie w 1918 r., w 1939 r., aż do roku 1944 było społeczeństwem przywiązane do idei, że wolność jest rzeczą cenną i obrońców wolności należy szanować. Nasi bohaterowie są dokładnie tacy sami jak ci z 1863 r. Tylko czy społeczeństwo roku 2007 jest gotowe dać taką samą odpowiedź na pytanie o wartości najwyższe, jak społeczeństwo z 1918 r.? Mam ogromne wątpliwości i między innymi dlatego potrzebne są te działania.

G.W. – Na okładce broszury poświęconej „Ince”, sanitariuszce brygady „Łupaszki”, która została rozstrzelana w więzieniu w Gdańsku w 1946 r. w wieku niespełna osiemnastu lat, umieściliśmy fragment (poświęconego innej osobie) wiersza Herberta: „Należy jej się pomnik lub przynajmniej obelisk/ za to że cała była z mitycznych czasów/ kiedy autorzy greccy albo rzymscy czytelnicy/ przy lampce oliwnej lub świecy/ paktów zawierali i mocno wierzyli/ że obrona wolności jest rzeczą chwalebną”. Wydawało nam się, że zawarta w wierszu myśl idealnie pasuje do postaci tej dziewczyny, pasuje zresztą równie dobrze do jej kolegów z brygady i żołnierzy innych oddziałów podziemia antykomunistycznego. Postawiliśmy jej pomnik w Narewce, miejscowości, spod której pochodziła. „Cała była z mitycznych czasów” – to gorzka i bardzo prawdziwa myśl Poety – bowiem czasy, w których obrona wolności była uważana za rzecz chwalebną, to czasy bardzo od nas odległe...

B.P. – Nie jestem aż tak sceptyczna. Może to wynika z niezgody na to, żeby komunistyczna bylejakość stanowiła normę moralną mimo jej formalnej przegranej.

G.W. – Można powiedzieć, że w wymiarze duchowym zawsze wygra człowiek i jego przywiązanie do wartości wysokich. Ale ilekroć mam do czynienia z tą żywą, niezagojoną raną ludzi, którzy doświadczyli na sobie zwycięstwa komunizmu, i jedyne, co jesteśmy im w stanie powiedzieć przy pomniku odsłanianym ku pamięci kogoś im bliskiego – że on zwyciężył w sferze moralnej... tak mówi się wtedy, gdy nie ma się już nic innego do powiedzenia.

B.P. – Całkowicie się z panem nie zgadzam, bo gdyby było tak, jak pan mówi, nie byłoby naszej rozmowy.

G.W. – Im dalej od zbrodniczego systemu, im dalej od utopii, im dalej od monstrialnej głupoty, którą ze sobą ten system niósł, tym jaskrawiej widać, że komunizm był czymś zupełnie antyludzkim. Tego systemu coraz mniej osób broni, w sporze intelektualnym tych obrońców jest jeszcze mniej. Dzisiaj już mało kto twierdzi, że to była dobra idea, tylko podlegała wypaczeniu. Wprawdzie daleka jest jeszcze droga do powszechnego uznania ludzi takich jak major „Łupaszka” za postacie z panteonu bohaterów, ale w tym kierunku idziemy. Człowiek dąży ku dobremu, mimo wszystko. Trzeba wierzyć, że wartości powracają na swoje miejsca. Z drugiej strony, jeśli spojrzeć na wyniki sondaży opinii publicznej dotyczących oceny stanu wojennego, to o taką wiarę trudno.

K.K. – Pozytywną motywacją naszego działania były postawy niektórych mieszkańców Podlasia, którzy, gdy tylko po 1989 r. zaistniały ku temu warunki, na własną rękę, za własne pieniądze, bez pomocy jakichkolwiek instytucji państwowych, wznosili upamiętnienia po-

święcone ludziom poległym za Ojczyznę w walce z komunistami. Wspomnę rodzinę Kiersnowskich w Kiersnowie, w powiecie bielskopodlaskim, w której domu kwaterowali major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” i kapitan Leon Lech Beynar „Nowina” – późniejszy wielki pisarz i historyk Paweł Jasienica. Kiersnowscy, mimo że znajomość z „Łupaszka” i „Nowina” kosztowała ich ciężkie śledztwo i komunistyczne więzienie, na własny koszt wzniesli pomnik upamiętniający postać niezłomnego dowódcy 5. Brygady Wileńskiej. Pamiętam też zawsze pana Henryka Krzyżanowskiego z Miodusów Pokrzywnych. Gospodarstwo jego rodziców spłonęło podczas walki partyzantów 5. Brygady Wileńskiej AK i oddziału „Młota” z grupą operacyjną NKWD i UB, podobnie jak jedna trzecia wsi. NKWD spędziło ludność, ustawiło karabiny maszynowe, ludzie byli zastraszani, poddawani ogromnej presji – i mimo wszystko ten człowiek, gdy tylko nastąpiła taka możliwość, w 1989 r. postawił na własny koszt pomnik-czek partyzantom poległym w tej bitwie z NKWD.

G.W. – Gdy go zapytaliśmy, dlaczego wznosił ten pomnik, odpowiedział tak: „postawiłem ten pomnik dla przyszłych pokoleń, żeby wiedziały, jaka jest cena za wolność”. W tym prostym zdaniu zawarł sedno sprawy.

Zamiast zakończenia

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia nieznani do dziś sprawcy, mentalni spadkobiercy Humera, Bieruta, Gomułki i innych towarzyszy spod znaku sierpa i młota, ariergarda komunistycznej antycywilizacji, przy użyciu farby sprofanowali wzniesiony przez Fundację, stojący w Lublinie u podnóża Zamku Lubelskiego, pomnik poświęcony poległym w walce z hitlerowskim i komunistycznym zniewoleniem partyzantom z oddziałów podległych cichociemnemu mjr. Hieronimowi Dekutowskiemu „Zaporze”. Farba wylana została na główny napis memoratywny oraz tablice z nazwiskami ponad 250 partyzantów „Zapory”, którzy, z samym „Zaporą” na czele, złożyli swoje życie na ołtarzu wolności Ojczyzny.



Grzegorz Wąsowski, ur. 1969 r. Od 1987 r. uczestnik opozycji antykomunistycznej. W latach dziewięćdziesiątych działacz Ligi Republikańskiej. Współzałożyciel i członek zarządu Fundacji „Pamiętamy”. Od początku lat dziewięćdziesiątych podejmujący działania popularyzujące historię polskiego antykomunistycznego podziemia zbrojnego walczącego po roku 1944 r. Z zawodu adwokat.



Kazimierz Krajewski, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Autor kilkunastu publikacji książkowych i licznych artykułów z zakresu dziejów podziemia niepodległościowego w latach II wojny światowej i w okresie powojennym. Kierownik Wydziału Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych OBEP IPN w Warszawie.